



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jadwiga Studniarek

Walka o chleb i przetrwanie

Urodziłam się 13 sierpnia 1931 roku w Grodzisku Mazowieckim. Gdy miałam 8 lat (w 1938 roku) zmarł mój tatuś. Mama została wdową z trojgiem dzieci. Brat miał wówczas 14 lat, a starsza siostra 13. W 1939 roku, kiedy wybuchła wojna, mama nigdzie nie pracowała, bo żadnej pracy dla kobiet nie było. Zatrudniała się gdzieś dorywczo. Bieda była straszna...

W 1940 roku zaczęła matka handlować mlekiem. Chodziła kilkanaście kilometrów pieszo do wsi, żeby cokolwiek zarobić na utrzymanie nas trojga. Sąsiadka jeździła z mlekiem do Warszawy i ja mając lat 11 zabierałam się razem z nią. W Grodzisku niebezpiecznie było handlować, bo Niemcy często robili obławę i zabierali wszystko co znaleźli. Jeździłam więc do Warszawy i nosiłam mleko po domach. Później handlowaliśmy chlebem razem z bratem. Brat był podobny do Żyda i często chodził sprzedawać chleb do getta. Wtedy zakładał mnie i sobie opaskę z napisem „Jude”. Jednak długo nie mogliśmy tam przebywać, bo hitlerowcy tropili handlarzy.

Do szkoły nie chodziłam, bo budynek szkolny zajęli Niemcy. Uczyliśmy się więc w domach prywatnych. Matka zaczęła jeździć na wieś do Rawki koło Skierniewic, a ja razem z nią, żeby nie odebrano jej towaru podczas rewizji. Nieraz zdarzało się, że mieli litość nad dziećmi. Z tego też powodu matka zabierała mnie ze sobą. Musiałam bardzo wcześnie rano wstawać i zawsze był przy tym płacz. Była zima, pociągi przepełnione. Nie miałam rękawiczek, a tylko mufkę, która grzała, gdy trzymałam w niej ręce, ale ja przecież musiałam dźwigać koszyk z nabiałem. Ja zawsze miałam droższy towar niż matka – masło, słoninę, kielbasę.

Kiedyś wybierałyśmy się kolejny raz do Rawki. Ja miałam nabiał, a mama woreczek z 25 kilogramami ziemniaków. W pociągu jechali też tzw. „czarni” i żandarmi. Dojechaliśmy do Rawki, a tam straszna obława na handlarzy. Przygotowane już były podwozy, tzn. wozy sprowadzone ze wsi, na które pakowano odebrane towary. Pamiętam, że to nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Matce zabrali cały worek. Wtedy ja podeszłam do Niemca i z płaczem powiedziałam mu, że mamusi zabrali ziemniaki i nie będziemy mieli co jeść na święta. Płakałam strasznie. Niemiec podszedł ze mną do furmanki i zapytał, która to paczka. Wskazałam na worek. Kazał mi go zabrać i pomógł wyciągnąć, bo nie miałam siły tego podnieść. Usiadłam na tym worku i płacząc czekałam, aż furmanka odjadą. Potem przyszła do mnie matka, bo dowiedziała się, że Niemcy oddali mi towar. Pamiętam, że razem płakałyśmy ze szczęścia, bo miałyśmy co jeść na święta. Brat przyniósł choinkę i z siostrą ją ubrali. Mama upiekła placków na oleju. Tak wyglądała nasza Wigilia.

Biedę cierpieliśmy strasznie, zwłaszcza że mieliśmy cały dom uciekinierów – Żydów, Węgrów, polskich żołnierzy. Przebierali się u nas w cywilne ubrania, a mundury spalili.

Pewnego dnia jadąc z matką do Rawki udawałam, że śpię, a tymczasem podsłuchiwałam rozmowę o tym, w jaki sposób ludzie zarabiają na bimbrze. W Pływi robiono go w niemal co drugim domu. Wzięłam więc sobie dwie banieczki i pojechałam do Pływi po ten bimber. Szłam za handlarzami. Oni wchodzili do jednej chałupy, ja do drugiej. Pamiętam, że kupiłam wtedy 5 litrów, a później sprzedałam to sąsiadowi, który prowadził sklepik.

Po węgiel chodziłam na stację kolejową. Co uzbierałam do wiaderka, to wsypywałam do swojego schowka i znowu szłam zbierać. Brat z siostrą nosili to później do domu.

Niedaleko nas w Grodzisku Mazowieckim była fabryka „Octówka” (dziś „Polfa”). Przywozili tam jeńców. Ludzie donosili im jedzenie. Kiedy prowadzili ich do tej fabryki, mama wzięła z domu chleb pokrojony na kromki i dawała im. Byli bardzo wygłodniali. Wołali, aby dać im pić. Mieliśmy czarną kawę w butelkach i tym się biedni dzielili. Pewnego dnia nasza gospodyni i lokatorki ugotowały cały kocioł zupy i sankami miały ją zawieźć pod fabrykę. Ja i jeszcze dwie dziewczynki w moim wieku miałyśmy poprosić Niemców, aby pozwolili nam dać jedzenie tym ludziom. Okazało się jednak, że moje koleżanki za bardzo się boją, więc zmuszona byłam iść sama. Ja już wiedziałam jak prosić tych Niemców – zaraz płakałam. Na mój widok pozwolili nam wjechać z kotłem na teren fabryki. Wzięłam dużą chochlę i rozlewałam jeńcom do menażek, a oni pili tę zupę, bo nie mieli łyżek. Po skończonym jedzeniu zabraliśmy kocioł na sanki, a ja poszłam podziękować Niemcom. Oni pogłaskali mnie po głowie, a ja byłam bardzo szczęśliwa, że nam się wszystko udało. Wtedy zaczęłam przy nich płakać, że tu jest mój brat i prosić, żeby go puścili. Tak mi matka kazała powiedzieć – że nie mam tatusia, bo umarł i brata, bo jest uwięziony. Porozmawiali między sobą, potem Niemiec wziął mnie za rękę i łamaną polszczyzną kazał wskazać palcem brata. Pokazałam na ładnego, młodego chłopca w wieku około 18 lat. Niemiec kazał mu wyjść z szeregu i spytał, czy jestem jego siostrą, a gdy tamten potwierdził – wypuścił nas za bramę fabryki. Potem była wielka radość. Chłopiec bardzo dziękował mojej matce.

Był rok 1944. Powstanie Warszawskie. Warszawiaków mieliśmy dosłownie pełny pokój (jakieś 12 osób). Ale zatrzymali się nie tylko u nas. Byli w każdym domu na naszej ulicy. Spaliliśmy jak te śledzie na podłodze. I znowu bieda i robactwo. Ludzie mieli tylko to co na sobie, a upał był niesamowity. Pomagały mamie jakieś dwie panie – jedna miała na imię Stefa, a druga Irena. Kiedy pewnego dnia dowiedziały się, że w Warszawie jest już spokój, wybrały się pieszo do stolicy, aby zobaczyć swój dom. Po kilku dniach wróciły. Okazało się, że wszystko legło w gruzach, zostały jedynie zgliszcza, ale przyniosły ze sobą trochę ciuchów i piękne, porcelanowe talerze. My, dzieci, zostałyśmy z warszawiankami, a matka poszła na wieś niedaleko Grodziska po mleko, żeby coś ugotować do jedzenia. Ja zaproponowałam warszawiankom, że pójde na rynek w Grodzisku na targ i sprzedam im te talerze. Bardzo się ucieszyły. Mróz był wtedy bardzo duży (pamiętam, że było to 16 stycznia 1945 roku). Będąc na rynku usłyszałam, że to już koniec wojny. Niemcy uciekają na Błonie, zabierając swoje tanki, działa i tabory. Ja już rozłożyłam się z tymi talerzami na rynku, a tu słyszę samoloty. Podniosłam głowę do góry i zaczęłam liczyć. Doliczyłam do ośmiu, a wtedy dziewiąty zszedł bardzo nisko i zobaczyłam, jak lecą dzbanki. Huku nie słyszałam. Zrobił się straszny popłoch, a to było bombardowanie. Nie miałam pojęcia co to były za samoloty, wiedziałam tylko, że zostałam ranna w plecy. Przykryłam sobą te talerze, żeby się nie stłukły, bo to nie moje, ale wtedy poczułam coś ciepłego na plecach. Patrząc – koło mnie leży kobieta w kożusku, a obok jej urwana noga. Ja dostałam odłamkiem blisko kregosłupa i do dziś mam szramę. Talerze wszystkie pozbierałam – ani jeden się nie stłukł. Za to plecy – jedna masakra. W domu jak tylko dowiedzieli się, że rynek był bombardowany, zaraz brat poleciał w stronę miasta. Spotkaliśmy się przy przejeździe. W uszach miałam jeszcze warkot samolotów. Kiedy przyszedliśmy do domu, siostra pobiegła po panią Zajączkowską, starszą pielęgniarkę, która zaraz wlała mi coś na tę ranę i wyjęła kawałek odłamka. Czułam, jakby coś mi się tam gotowało.

Na drugi dzień rano do Grodziska Mazowieckiego wkroczyło rosyjskie wojsko i była wielka radość.

W 1946 roku umarła moja matka i zostaliśmy sami – troje sierot. Brat podjął pracę i w następnym roku ożenił się, a siostra wyszła za mąż w 1948 roku. Ja mając 15 lat zdana byłam tylko na siebie. Ukończyłam szkołę podstawową i rozpoczęłam naukę w szkole handlowej, ale chodziłam tam tylko jeden rok, bo zmuszona byłam iść do pracy...